

J A R O S Ł A W
GRZEDOWICZ

NR. 0.757342

HEL³

3.0160293

NT P2

fabryka słów®




J A R O S Ł A W
GRZĘDOWICZ




Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®
Lublin – Warszawa



Ta książka, podobnie jak wszystkie inne, zawdzięcza bardzo wiele bardzo wielu ludziom, ale szczególnie serdeczne podziękowania należą się dr. Leszkowi P. Błaszkiwiczowi z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, który spojrział na nią okiem człowieka znającego się na kosmosie, astronautyce i astrofizyce i udzielił bezcennych rad autorowi, wiedzącemu o tym niewiele. Wszystko, co wydaje się w tych kwestiach prawdopodobne i możliwe, ten tekst zawdzięcza Jemu, natomiast nieuniknione błędy i niedorzeczności są wyłączną winą autora, który nie wiedział, że czegoś nie wie, i nie zadał właściwego pytania.



Jesteśmy niebem dla księżyca.

~ Giordano Bruno

Rec.1



Dubaj, sierpień 2058

Cóś się szykowało na mieście.
Podobno.

Siedział w podcieniu, skryty przed oślepiającym słońcem, sączył miętową herbatę, przeliczał w myślach topniejące oszczędności i czekał, aż w tłoczącym się w wąskich uliczkach tłumie ktoś zrobi coś szalonego. Albo przerażającego. Albo w ogóle godnego uwagi. Cokolwiek.

Niech ktoś wysadzi się w powietrze, odbędzie pojedynek na miecze albo przynajmniej załaduje dwukólkę tak, by uniosła osła na dyszlu.

Cokolwiek, co na chwilę przyciągnie uwagę otępiących i na wpół zahipnotyzowanych pozeraczy MegaNetu i zapewni mu 5K wejść. Po przekroczeniu tej magicznej granicy ockną się śledzące programy sponsorów i na jego wyschnięte konto zaczną ciurkać strumyczek eurośów.

Czekał.

Był gotów.

Przeciwsłoneczne ray-bany na jego stoliku nie przyciągały niczyjej uwagi. Efektowne, w lotniczo-włoskim stylu, wyglądały jak z kiosku Real Fakes na lotnisku w Rijadzie. Połowa mężczyzn w okolicy nosiła takie. Jego omnifon też nie wzbudziłby sensacji, nawet gdyby opuścił swoje miejsce przy pasku przysłonięty koszulą. Zaszytych pod skórą na grzbiecie dłoni i na karku wszczepów sprzęgu w ogóle nie było widać.

Gdyby cokolwiek zechciało się zdarzyć, musiał tylko założyć okulary i kilkoma czarodziejskimi ruchami dłoni obudzić przyczajone programy. A potem po prostu patrzeć i nie odwracać wzroku. Pozwalać, by to, co widzi, płynęło przez zielone szkła jego ray-banów i matową płytkę omnifona prosto do serwera, a potem w otchłanie MegaNetu, i stało się Wydarzeniem.

5K wejść.

To przecież nie tak dużo.

Nie tak jak pięć mega wejść. Przy takiej klasie iwentu i odpowiedniej dynamice oglądalności materiałów nitychmiast był wycofywany z Tuby i zastępowany okrojonym trailerem, a całość nagrania szła na aukcję, na żer największych portali informacyjnych. Ceny liczone w mega euro, a szczęśliwy łowca zgarniał nawet czterdzieści procent.

Tylko że nic się nie działo. Nic, co mogłoby aspirować do miana iwentu.

Dookoła kręcili się ludzie. Jedni w białych diszdaszach, z głowami okrytymi chustami, ściśniętymi czarnymi opaskami z grubych sznurów, w okularach podob-

nych do jego własnych, czasami nawet też wypchanych elektroniką, i tych nie należało się obawiać. Byli też starcy z rozwichrzonymi siwymi brodami, noszący koronkowe białe czapeczki w kształcie salaterki, człapali w swoich rozdeptanych sandałach, łypiąc przekrwionymi oczami byków i tropiąc grzech. Ci bywali uciążliwi, ale rzadko niebezpieczni. Dubaj na razie, w porównaniu z resztą Sunny, wydawał się oazą spokoju i tolerancji. Nikt nie potrzebował nawiedzonego dziadygi szarpiącego klientów i wywrzaskującego przekleństwa.

Należało natomiast uważać na innych brodaczy. Młodych albo w sile wieku. Tych, którzy nosili okręcone wokół głów kraciaste arafatki albo filcowe czapy w kaukaskim stylu. Stali na uboczu, zawsze w grupkach, i rozmawiali półgłosem, spoglądając zimnym, podejrzliwym wzrokiem. I jeszcze na tych o policzkach pokrytych miękkim, młodziutkim zarostem, który nigdy nie widział golarki, o obłąkanych oczach wypełnionych ledwo używanym, świeżutkim fanatyzmem prosto z medresy.

Był jeszcze typ smagłych, chudych szczurków w zbyt wielkich piłkarskich koszulkach Bayernu albo Realu, czasem w bejsbolówkach z wprasowanymi odtwarzaczami, nabijanych ćwiekami i srebrnymi płytkami i haftowanych w jaskrawe wzory. I na tych też trzeba było uważać, choć z zupełnie innych powodów. Munir należał do tej grupy. Munir, który za pięć kilo euro za informację twierdził, że „coś się szykuje na mieście”.

Więc siedział w cieniu, z ustami przepełnionymi aromatem sparszonej mięty i oblepionymi słodyczą, z okularami w zasięgu dłoni, i czekał.

Coś szykowało się na mieście, ale nie było to nic, co można by sfilmować i rzucić na żer bóstwom MegaNetu. Cokolwiek to było, kryło się pod powierzchnią.

Powietrze drżało od upału. Założył okulary i obudził je nieznacznym ruchem dłoni.

Czterdzieści jeden stopni. W cieniu. Wokół toczyło się hałaśliwe życie suku, przepełnione konglomeratem dźwięków, zapachów i kolorów. Co chwila przez tłum przeciskał się brzęczący silnikiem skuter, zużywający paliwa kopalne. Widok niebieskawej mgiełki spalin wydawał się niestosowny, zdumiewający i egzotyczny. Ropa wciąż była, tylko prócz Azji i Afryki nikt nie chciał jej kupować. W ciągu dwudziestu lat najbardziej zdumiewająca metropolia świata zmieniła się z rajy na ziemi w zwykłe, zrujnowane arabskie miasto. Mogli kąpać się w benzynie za nędzne dziesięć dirhamów za litr i to wszystko, co zostało z petrodolarowej świetności. Poobi-jane bentleye i rolls-royce'y, mercedesy z powybijanymi szybami i terkocące skutery, poprzerabiane na wózki dostawcze. To, i w miarę tani prąd, przez prawie całą dobę. W Europie, ściskanej za gardło doktryną zrównoważonego rozwoju, nawet to byłoby za wiele.

Z King's Meridian, w którym mieszkał, widział kryształowe wieże Mina Seyahi, strzelające w niebo nieprawdopodobnymi kształtami. Kiedyś cudo architektury, oświetlane nocą jak klejnoty, dzisiaj straszące powybijanymi szybami, z utraconą w połowie gigantyczną iglicą Burj Khalifa, niegdyś sięgającą ponad osiemset metrów w niebo.

Kiedyś sądzono, że turystyka zastąpi ropę, tylko że nikt nie chciał jechać na wakacje w sam środek Sunny,

gdzie można zawisnąć na dźwigu budowlanym albo zostać ściętym na placu za zbyt skoczny dzwonek w komunikatorze. Kilka emiratów, jak Dubaj, wciąż miało dość łagodne prawo, ale to się już kończyło. Na dodatek mało który Europejczyk mógł sobie pozwolić na podróż dalej, niż można zejść na piechotę.

W efekcie sztuczne wyspy na zatoce zmieniały się w pustynne wydmy sterczące z morza, straszące kikutaми uschniętych palm i ruinami budynków.

Kiedy świat kupował ropę, mówiono, że wysysa bogactwa arabskiej ziemi, i rozpętano przeciw Wielkiemu Diabłu dżihad. Kiedy przestał, dochody spadły na łeb na szyję, a dżihad tamtych czasów okazał się kinderbałem w porównaniu z tym, co wyprawiano teraz. Otwarta wojna nie wybuchła tylko dlatego, że ani Północy, ani Sunny nie było na nią stać. Dubaj stał się jedną z wysepek względnego spokoju na oceanie szaleństwa i furii.

Targowisko wokoło pulsowało swoją zwykłą kakofonią. Zmieszanym hałasem arabsko-latynoskich przebojów, walczących z piskliwym łkaniem bollywood bhanga i vietdisco. Naprzeciw jego stoliczka sprzedawca dywanów siedział na schodkach swojego sklepu i pykał z sziszy, stanowiąc białą plamę spowitej w sięgającą ziemi diszdaszę sylwetki na tle misternie pstrokatej ściany, pełnej wijącej się mozaiki perskich wzorów, ręcznie wiązanych gdzieś w chińskim obozie koncentracyjnym.

Obok wzorzystego pojemnika nargili i zakurzonych butów sprzedawcy, na chodniku stał spodek ze szklanecczką herbaty.

Uniósł głowę i spojrzał przez szkła swoich ray-banów, lekkimi ruchami palców definiując matrycę wielkofo-

matową, wykadrował, ostrząc na zmarszczki na policzkach tamtego i jego starą, zamyśloną twarz, a potem zrobił zdjęcie. Obejrzał je kontrolnie i doszedł do wniosku, że intuicja go nie myliła. Fantastyczny kadr. Gestem dłoni wysłał je na swój prywatny adres i westchnął. Mega-Net nie potrzebował fantastycznych kadrów ani „ślitaśnych foci”. Potrzebował iwentu.

A potem nagle coś się zmieniło. Subtelnie, jakby przez uliczki medyny przemknął powiew zimnego wiatru. W tle międzynarodowej muzycznej sieczki rozbrzmiały dzwonki komunikatorów i sygnały przyjęcia wiadomości.

Chórem. Wszędzie.

Ci, którzy mieli okulary, zatrzymali się nagle w pół kroku, odczytując zawieszone w powietrzu komunikaty, których nie widział nikt prócz nich. Inni zaczęli mówić półgłosem, odruchowo przyciskając palcem płatek ucha. Równocześnie sypiąca się zewsząd muzyka przycichała, ustępując miejsca świergotaniu dzwonków, jakby na suk spadła plaga elektrycznej szarańczy.

Coś szykowało się na mieście.

Poczuł wibrację kości policzkowej tuż przy uchu, a w powietrzu zawisły złote litery głoszące: „Munir”.

– Cześć, Norbert, mój przyjacielu – powiedział Munir. Jego głos pobrzmiwał głuchym echem, jakby Munir przemawiał zamknięty w betoniarnie lub, co bardziej prawdopodobne, w kiblu. Nie włączył wizji. – Wiem, kto, co i kiedy – ciągnął. – Wchodzisz, mój przyjacielu?

– Muszę wiedzieć, czy warto.

– Jak mówię warto, to warto. Dobry iwent. Numer jeden. Dziesięć kilo i pięć procent.

Poczuł, jak oblewa go gorąco. Jeszcze większe niż dotąd. Podmucha z samego rozżarzonego serca pustyni.

– Munir, pogięło cię.

– Nie pogięło. Wiem, co mówię. Biznes.

– Dziesięć kilo i koniec. To i tak dwa razy więcej niż zwykle.

– Iwent jest super. Sprzedasz do portali. Piętnaście i cztery procent.

– Co to ma być?

– Bracia Śmierci ujawniają się w Dubaju. Porwali Europejów. Będzie egzekucja. Publicznie, na mieście. Spluną w twarz Europie i emirowi. Piętnaście i cztery procent? Czas to pieniądz, Norbert, mój przyjacielu. Cena jak dla brata. Mogę zadzwonić gdzie indziej.

Podmucha gorąca zmienił się nagle w powiew z serca Arktyki.

– Dziesięć i jeden procent – usłyszał własny głos.

– Szleja, bracie. Piętnaście od ręki.

– Zgoda.

Przez chwilę wyglądał, jakby odganiał się od much, aktywując paypassa i przelewając należność.

– Poszło.

– Za godzinę. Na samym środku Mina Seyahi. Pod Emirates Towers, przy fontannie. Omijaj Sheikh Zayed Road. Tamtędy przejadą.

– Kto?

– Inżynier z HeartSunElectrics. I biotechnolog z Genotronix. Porwani w zeszłym tygodniu z własnych domów w Greens. Muszę kończyć. Ruszaj, mój przyjacielu, i znajdź dobre miejsce.

– Wszyscy dookoła dostali wiadomości. Jestem bez szans. Po cholerę kazałeś mi iść na suk? Z hotelu miałbym tam kwadrans spacerkiem.

– Wszyscy już wiedzą co, ale nie wiedzą gdzie. Bracia chcą mieć widownię, a nie armię. Najpierw miało być pod Domem Szejka Saeeda. Dlatego suk. Niech cię Allah prowadzi.

Egzekucja.

Ruszył od razu szybkim krokiem, czując, jak oblewa go pot i jak wali mu serce. Czuł je aż w gardle, jakby połknął spanikowaną żabę.

Egzekucja.

Makabryczne widowisko, którym Bracia Śmierci pokazą, że robią już w Dubai City, co chcą, że zdradziecki, paktujący i handlujący z Wielkim Diabłem emir może im skoczyć, a na dodatek że jego diabelski Dubaitech, dający schronienie sprzecznym z Księgą szatańskim eksperymentom, oraz odrażający projekt elektrowni termojądrowej Al-Kasra, będącej bez wątpienia zakamuflowaną bombą pozwalającą Europejcom jednym naciśnięciem guzika wysadzić Półwysep Arabski, zostaną ukarane. Do tego niewierni z HeartSunElectrics i Genotronix dowiedzą się, że nic nie uchroni ich przed długimi rękami szariatu.

Taki był kontekst. Te dwa cięcia miecza mogły oznaczać początek końca Dubaju. Tylko że MegaNetu nie obchodził żaden kontekst. Tę wielooką, tę bestię obchodził wyłącznie iwent. Będzie mogła się gapić, a potem zmieni się w chór żab, rechocących, że bardzo dobrze, że kiedy imperialiści wreszcie zrozumieją, że nareszcie

dostali za swoje. Żaby porechocą pół godziny, a potem będzie inny iwent.

Tyle tylko, że Norbert nic na to nie mógł poradzić. Mógł jedynie nakarmić bestię i mieć nadzieję na swoje ileś mega wejść, a potem aukcję. Mógł stanąć na nogi i wyjechać z Dubaju, zanim będzie zmuszony ukraść ponton i wypływać na Zatokę Perską.

Znał miasto, więc mógł iść na skróty, przeciskając się w azjatycko-arabskim tłumie. Zresztą do Mina Seyahi nie dało się nie trafić, gigantyczne wieżowce strzelające w rozpalone niebo były widoczne zewsząd. Ludzie wokół rozmawiali w grupkach, podenerwowani i spłoszeni, gestykulując gwałtownie, albo też szli gdzieś spieszenie, tylko w różnych kierunkach. Zapewne kontraktowi inżynierowie, biotechnicy i programiści. Jeszcze dziesięć minut temu przekonani, że wygrali los na loterii, i trapiący się tylko tym, jak ocalić swoje niebotyczne pensje przed oszalałym z chciwości europejskim fiskusem. Teraz pragnący jak najszybciej zniknąć z ulic.

Norbert skręcił w stronę nabrzeża i starał się iść szybko, ale nie aż tak szybko, żeby wyglądać nerwowo. Na wszelki wypadek włączył nagrywanie i patrzył teraz na świat przez mozaikę markerów, znaczników i wśród deszczu bursztynowych literek informujących go o rozmaitych parametrach. To działało uspokajająco. Nie musiał tego wszystkiego wyświetlać, sprzęt trzymał tryby auto i sam martwił się o światło, balans bieli, głębie ostrości, matryce i parametry dźwięku. Norbert miał jedynie patrzeć, pamiętać, żeby nie sapać, i nie trząść się za bardzo. Tyle tylko, że świat ozdobiony tymi wszystkimi

markerami robił się bezpieczniejszy. Stawał się filmem. Obiektem. Przedmiotem pracy.

Niemal tak samo niegroźnym jak oglądany na wyświetlaczu MegaNetu.

Wyszedł na zalane upiornym blaskiem nabrzeże, pomiędzy smętne palmy ze zwieszającymi się pękami suchych liści i ciągnące się wzdłuż niego niegdyś eleganckie butiki, a obecnie stoiska z tandetą i podróbkami. Nad samym kanałem wałęsały się w niewiadomym celu dwa wielbłądy i kilka wychudłych kotów. Zadanie na teraz to pokonanie trzystumetrowego, wijącego się przez miasto pasa wody. Do któregośkolwiek z mostów miał za daleko.

Przez długą, upiorną chwilę patrzył bezradnie na kołyszące się na wodzie jachty z rozłożonymi bateriami słonecznymi jak czarnoskrzydłe motyle, na łodzie rybackie, rozpadające się statki wycieczkowe, przerobione na noclegownie, i nic nie oferowało rozwiązania.

Właściwie był już gotów skakać w pokrytą tęczowymi plamami i dryfującymi w pianie biodegradowalnymi opakowaniami wodę kanału, kiedy zobaczył pstrokaty daszek, zrobiony z napiętych na rusztowaniu plastikowych płacht o najróżniejszym pochodzeniu, i długi czarny kadłub pełnej ludzi abry. Wodny tramwaj już odbijał, kiedy Norbert dopadł nabrzeża i skoczył prosto w ciżbę, wymachując czipem gotówkowym.

Abra zionęła chmurą niebieskawych spalin i terkocąc swoim niebywałym, naruszającym wszystkie założenia idei głębokiej ekologii silnikiem, odbiła od nabrzeża, kierując wąski kadłub ku drugiemu brzegowi, prosto w bajkowy, kryształowy las wieżowców Mina Seyahi, wyglądających jak z obcej planety.

Na zatłoczonym pokładzie wszyscy rozmawiali przez telefony. Właściciele omnifonów i tabletów głosili coś przed siebie z nieobecnymi minami przeżywających wizję anachoretów, mniej zamożni paplali do smartwatchy, a nawet przedpotopowych, poklejonych taśmą smartfonów. Milczał tylko Norbert.

Zlany potem, w przylepionej do pleców koszuli, otoczony gardłowym hurgotem dziesiątek rozmów. Był to jeden pomruk, w którym co jakiś czas pojawiały się pojedyncze znajome słowa: „pięć”, „rząd”, „interesy”, „bojownicy”, „niebezpieczny”, „Europa”, „Izrael”, „śmierć”, „Syria”, „Pakistan”, „bomba”, „źle”.

Z daleka, od strony Sheikh Zayed Road rozbrzmiał nagle ostry trzask. Suchy, jakby elektryczny dźwięk, który wbił się pomiędzy szmer rozmów, zagłuszył łomot silnika i po chwili wrócił odbity od ściany wieżowców na drugim brzegu. A potem następny. Jak odgłos wyładowania. Nawet nie dało się rozróżnić poszczególnych trzasków. Na kilka sekund rozmowy ucichły, a potem rozbrzmiały ze zdwojoną siłą.

Norbert dokładnie wiedział, co to jest, bo słyszał to już kilka razy w życiu. AK-50k. Na paliwo ciekłe. Ruska, prosta i tania w użyciu broń. Automaty zagrzmiały znowu długimi seriami.

Na postrach.

To nie brzmiało jak krótkie, agresywne poszczekiwanie potyczki ogniowej, kiedy karabiny rozmawiają ze sobą nerwowymi, wściekłymi frazami, wpadając sobie w słowo i przekrzykując się niczym skłóceni kochankowie.

To też już kiedyś słyszał.

Patrzył w tamtą stronę, robiąc maksymalne zbliżenie, jednak nic nie było widać. Nic szczególnego.

W całym mieście rozległo się wycie policyjnych syren, ale z oddali. A później niski warkot i świst sprężarki.

Kwadropter. Na czterech turbowentylatorowych pędnikach, pewnie wojskowa Supermangusta.

Zerknął w górę i zobaczył tylko rozpaloną kopułę nieba, pelikany i mewy.

A potem z daleka nadeszło głucho, niskie tąpnięcie, które przerodziło się w piskliwy ryk niczym rozjuszonego smoka, a następnie łomot, jak nagły odgłos gromu. I za chwilę jeszcze raz.

Ten dźwięk też znał. URG-25 Fakiel. Uniwersalny granatnik rakietowy. System „fire and forget”. Wystarczyło wycelować, naduszyć przycisk, a potem pociągnąć za spust. Operator mógł w życiu nie widzieć nic bardziej skomplikowanego niż koza, a i tak by sobie poradził. Dało się tym strącać wszystko, co lata, burzyć budynki, palić czołgi, przebijać osłony i zasypywać wroga odłamkami szrapnela, wybierając tryb jednym klawiszem.

Upłynęła milcząca, ogłuszona sekunda, a potem łódź znów wypełniła się wieloma głosami, tym razem cichymi i rytmicznymi. I tym razem je rozumiał.

La ilaha illallah Muhammadur Rasulullah...

Raz za razem.

Monotonnym, przerażonym chórem.

Turbiny kwadroptera zmieniły dźwięk, pojawił się w nim jakiś obcy terkot i paniczny wizg sprężarek, odgłos narastał i nagle maszyna wystrzeliła znad dachów, nisko, obracając się w locie, jeden z wentylatorów stał nieruchomo, z łopatkami widocznymi w tunelowej osło-

nie, drugi pluł warkoczem czarnego dymu i czerwonymi iskrami, a dwa pozostałe pracowały normalnie.

Norbert zadarł głowę i odprowadzał Supermangustę wzrokiem, drapieżny, rekini kadłub obracał się wokół pionowej osi coraz szybciej, płonący pędnik omiatał go welonem dymu, sprężarki zawodziły coraz rozpaczliwiej, do czarnego warkocza dołączył drugi, gęsty i biały. Turbina gubiła glikol.

Pasażerowie stłoczeni na wąskim pokładzie abry byli przerażeni, zagubieni i podenerwowani. Bali się o siebie, o swoich bliskich, a nade wszystko o swój jakoś tam poukładany świat, który zaczynał się chwiać w posadach. To, co się właśnie działo, mogło się skończyć nadejściem szariatu i przeistoczeniem Dubaju w kolejny emirat Sunny. Albo odwetowym nalotem natowskich lub izraelskich myśliwców. Albo wojną armii ZEA przeciwko dżihadytom. Albo diabeł jeszcze wiedział czym. W każdej sytuacji zwykli ludzie, tacy jak stojący na tej łodzi, musieli dostać po dupie.

Jedynym spokojnym pozostał Norbert. Dla niego istniało tylko utrzymanie w kadrze obracającego się i zmieniającego w stronę portu Al-Rashid kwadroptera. Zrobił najazd, wypełniając pole widzenia samą maszyną, a potem odjazd, kiedy dym przesłonił mu widok kabiny. Kwadropter zniknął za ścianą wieżowców, pozostawiając postrzępiony warkocz tłustego dymu, tnący jaskrawokobaltowe niebo.

Norbert stał nieruchomo, wygięty za burtę w niewygodnej pozycji, tak żeby rozpięty nad abrą daszek nie wchodził mu w kadr, i czekał na eksplozję. Wpatrywał się w łamaną linię wieżowców w Al-Raffa, oddzielającą go

od morza, ale eksplozja nie następowała, tylko gdzieś na wysokości Jumeirah Beach spokojnie podniósł się słup dymu, lecz nic szczególnego nie było słyhać. Być może pilot zdołał jakoś usiąść, a może kwadropter roztrzaskał się na piasku, ale nic nie wybuchło. Ani paliwo, ani amunicja.

Dla Norberta oznaczało to jedno: iwent był niewiele wart. Meganauci nie będą się zabijać, by zobaczyć dymiący helikopter, który na koniec nie wybucha. Ani odpalenia rakiety i trafienia, ani spektakularnej eksplozji. Sam środek akcji. Brakowało pointy. Nowicjusz dorobiłby wybuch, po czym przypuszczalnie wypadł z gry, na zawsze wygnany z portali iwentowych, gwarantujących autentyczność.

Abra dociągnęła do przeciwległego brzegu, po czym stanęła dziobem do nabrzeża i przekreśliła się, ocierając ciężko burtą o rząd starych opon zanurzonych do połowy w wodzie. Przysunięto trapy z ażurowej blachy, oblażące łuszczącą się białą farbą, i tłum runął na nie, jakby łódź stała w ogniu. Norbert odczekał na swoim miejscu przy burcie, po czym zszedł na ląd ostatni i od razu ruszył w stronę bliźniaczych Emirates Towers.

Wyminął wielkie rumowisko, labirynt pełen powykręcanych stalowych konstrukcji, pogruchotanych płyt pancernego szkła, betonu i duralu, które kiedyś były górną połową Burj Khalifa, aż trafił pod wyschniętą fontannę u stóp Emirates Towers, otoczoną wianuszkami łysawych palm.

Kręciło się tu trochę ludzi, tłum, na szczęście, na razie się nie zbierał. Norbert przysiadł sobie na ocalałej futurystycznej ławce, z widokiem na fontannę, i zrobił sze-

roki plan, a potem przejazd po albo snujących się to tu, to tam, albo dyskutujących w podenerwowanych grupkach ludziach. Doszedł do wniosku, że to nie jest przypadkowy dubajski tłum. Za mało Azjatów. Za mało Hinduśców, Europejów i Afrykanów. Za dużo tradycjonalistów. Gdziekolwiek obrócił szkła swoich ray-banów, natrafiał na oślepiająco białe, spływające do ziemi diszdasze i galabije, a do tego każdy miał coś na głowie: kraciaste arafatki, saudyjskie chusty, turbany, kaukaskie czapy, koronkowe szeszeje.

Każdy.

Za mało kobiet. W Dubaju miały stosunkowo dużo swobody, mogły nawet łązić same i na ogół ubierać się, jak chciały, a tu wypatrzył najwyżej kilkanaście i wszystkie albo w postaci czarnych jak wrony widm w pakistańskich burkach, albo w tutejszych abajach, z hidżabami na głowie. Zazwyczaj hidżab odsłaniał twarz, a abaje pochodziły od Dolce & Gabbana lub Gucciego, ale te tutaj były ostentacyjnie tradycyjne, a oblicza kobiet zasłaniały maski z szerokich haftowanych pasów tkaniny. Zrobił zbliżenie na ich twarze: pas materiału tnący czoło tuż nad oczami, kolejny jaskrawy kawałek taśmy spadający w dół przed nosem i rozdwajający się nad ustami jak odwrócone Y. Niby nic, kilka zszytych pasków, a można by w tym napadać na banki. Nawet nie miało się pewności, czy za tą zasłoną kryje się wąsaty Beduin, czy kobieta.

Czekanie dłużyło się, na razie kręcił tło i ludzi, walcząc z chęcią zachmurzenia cyberetki. Tu nikt się nie przejmował nawet prawdziwym tytoniem, ale bał się, że coś przeoczy albo obłoczek oparu zaśmieci mu obraz.

Muzyka spadła na wyschnięty skwer jak trąbiący słoń.

Prosto z rozprężonego nieba.

Od razu na wszystkich rejestrach, z pompatyczną kafkonią trąb, jękiem strun i zawodzącym wrzaskiem jak spadającego z minaretu muezzina.

Pieśń chwytiała za gardło i skręcała jelita, pełno w niej było Allaha, krzywdy, Matki, zemsty, dżihadu, śmierci i raju.

Tło wypełniło się rozglądającymi się bezradnie ludźmi, a dźwięki lały się z nieba i odbijały od ścian wieżowców, nie mając żadnego widocznego źródła.

Zrobił szeroki plan i zauważył, że zewsząd dookoła nadciąga publiczność o czerwonych, spoconych od upału twarzach, truchając spieszenie z podkasanymi diszdaszami.

Nieczynna od dawna fontanna naraz fuknęła słupem rozpylonej na mgłę wody, która zawisła chmurą nad skwerem i nagle rozwinął się w niej wielki jak kort tenisowy hologram. Wysokiej rozdzielczości, 3D, bardzo porządnie zaprojektowany, biorąc pod uwagę niestabilny nośnik.

W chmurze nad fontanną galopowali pustynni jeźdźcy, zamaskowani na czarno wojownicy obwieszeni bronią, chwyтали na ręce poranione dzieci, amerykańskie i europejskie samoloty pluły ogniem w płonące szpitale i szkoły, izraelski czołg tratował bezbronnych cywilów, pieśń łkała rytmicznie o krzywdzie i zemście, w końcu pojawił się łopocący łagodnie jak jedwab zielony sztandar ze złotymi zawijasami arabskiej kaligrafii.

Norbert kręcił to, bo na razie nie działało się nic innego, a animacja przynajmniej wypełniała obraz i stanowiła dobry wstęp iwentu. Gdzieś w głębi pamiętał, co

miało się stać, i był zmrożony strachem, ale to tkwiło tam, pod spodem, i znajdowało się pod kontrolą. W tej chwili był realizatorem, reżyserem i samą kamerą.

W tej chwili istniały tylko kompozycja, obraz, dźwięk i scenografia.

Złote wersety zastąpił symbol ze splecionych stylizowanych liter, układających się w schematyczny wizerunek pięści dzierżącej uproszczony kształt awtomatu Korobowa.

Tymczasem fontannę otaczał już tłum. Norbert wskoczył na ławkę i omiótł go wzrokiem, jakoś nie przyszło mu do głowy, że może i miał świetne miejsce, ale w razie czego żadnej drogi ucieczki.

Wokalista popisywał się teraz wibrującymi koloraturami, lecz bez słów, może zapomniał tekstu.

Po obu stronach fontanny ludzie zaczęli nagle wić się dziwnie, jakby znienacka oblaży ich mrówki, krzyczeć coś i oklepywać się po całym ciele, ale były to tylko dwie niewielkie grupki, pozostali gapili się na nich z osłupieniem. Tamci rzucili się we wszystkie strony w panice, przewracając się i tratując, i po chwili w ciżbie ziały dwie dość szerokie ścieżki po przeciwnych stronach fontanny.

Norbert patrzył, kręcił i pilnował obrazu.

Zrobił zbliżenie na tych, którzy odskoczyli od fontanny i teraz szarpali na sobie diszdasze, oglądając przedramiona i piersi, jakby szukali tam mrówek albo śladów oparzeń, ale nic nie było widać. Jeden z nich stracił na chwilę równowagę i wpadł na pół kroku w zakazany obszar, po czym wrzasnął przeraźliwie i rzucił się w tył, przewracając stojących za nim.

Na obu ścieżkach pojawiły się przysadziste kształty czarnych półciężarowych toyot murakami z zamontowanymi na zderzakach osłonami rurowymi, na których Norbert zauważył po dwa wklęsłe dyski, jakby miniaturowych anten satelitarnych, jak pokryte bielmem ślepia patrzące groźnie przed siebie.

Był zawodowcem, więc nie pokiwał głową. Trzymał obraz.

Jak statyw.

Ale wiedział już: MIVER. Emiter mikrofalowy. Zwykle używała tego policja szturmowa do rozpraszania tłumu. Oświetlony wiązką człowiek czuł się, jakby potraktowano go napalmem, ale jeśli wybiegł poza obszar promieniowania, wrażenie znikało natychmiast bez śladu i jakichkolwiek obrażeń. Natomiast wspomnienie pozostawało i od tej pory nieszczęśnik na sam widok odwracającego się w jego stronę talerza emitera rzucał precz transparent i gnał jak szalony, byle dalej.

Obie furgonetki wjechały za fontannę i obróciwszy golenie kół, skrzyły w miejscu, ustawiając się obok siebie, szczerząc dyski emiterów prosto w widownię.

Bojownicy wysypali się z obu stron samochodów, wybiegając przed maski i ustawiając się w czarny, zamaskowany szereg. W luźnych bluzach koloru sadzy, czarnych turbanach przewiązanych opaskami z symbolem pięści dzierżącej AK, obwieszeni magazynkami i zbiornikami paliwa, każdy z kompaktowym, kanciastym automatem w dłoniach.

Błysk oczu wśród czerni.

Pobożne wrzaski zemsty i rozpalone dubajskie niebo nad tym wszystkim.

Podwyższone burty skrzyń załadunkowych toyot rozłożyły się z łomotem, łącząc się w rozwieszony pomiędzy pojazdami pomost.

Człowiek, który wystąpił na blaszaną estradę, nosił się tak samo jak reszta, tylko nie był zamaskowany, nie licząc turbanu na głowie i gęstej brody, wypełzającej mu niemal pod oczy jak pożoga czarnych płomieni. Norbert zrobił zbliżenie i chciał wyostrzyć dodatkowo obraz, lecz okazało się to niemożliwe. Mężczyzna nie nosił maki, a jednak jego oblicze pozostawało lekko zamglone, jak widziane przez filtr lub drgające od upału powietrze. Z normalnego obrazu tej rozdzielczości dałoby się wyodrębnić wzór siatkówki oka, ale technika, której tamten użył, pewnie to uniemożliwiała.

Zrobił odjazd, chwytając w kadr podest, mężczyznę, oba samochody i groźny szereg czarnych mudżahedinów z przodu.

Kiedy brodaty zaczął mówić, jego głos spadał z nieba i odbijał się od budynków, tak samo jak przedtem muzyka.

Zaczął od „Bismillahirrahmanirrahim”, ale natychmiast przeszedł na angielski. Gardłowy, ze szkolną, sztywną gramatyką, ale zupełnie niezły. Tekst był w zasadzie ten sam co zawsze w takich sytuacjach, te same slogany i pogroźki, tyle tylko, że mężczyzna nie ciskał się ani nie wrzeszczał. Mówił szybko, najwyraźniej mając ściśle wyliczony czas, zanim na plac wpadną policyjne wozy, i zwracał się przede wszystkim do widowni MegaNetu.

– Zapamiętajcie to, co tu zobaczycie! Przejrzyjcie na oczy! Ocknijcie się! To się dzieje naprawdę!

Z tym fragmentem Norbert zgadzał się całkowicie.

Dla kogoś nienawykłego, całkowicie pogrążonego w codziennym miejskim życiu, gdzie największym zagrożeniem jest niemożność związania końca z końcem, widok zwykłego, bezbronnego człowieka bezradnie czekającego na k aż jest czymś niepojętym i przerażliwym. Niewiarygodnym.

Obaj mężczyźni, wywleczeni na blaszaną niby-estradę z rozłożonych burt półcieżarówek, zostali skuci i ubrani w kombinezony malarskie z supermarketu budowlanego. Z impregnowanego, całkowicie biodegradowalnego chitynowego włókna, obecnie przemoczone w kroczu i lepiące się do ciała. Na głowy założono im czarne jutowe worki, chyba po ryżu. Każdego prowadził zamaskowany bojownik bez automatu, za to z zakrzywionym chińskim ni to mieczem, ni to maczetą. Żadna tam szabla pustynnego koczownika. Ciężka z arkusza blachy, ostrzona laserowo tandeta. W Europie zakazana, ale na Południu walająca się masowo po straganach.

NR 0.757342

HEL³

3.0160293

N1 P2

J A R O S Ł A W
GRZEDOWICZ

Wyobraź sobie, że jest **pierwiastek**, który stanowi niemal **niewyczerpane źródło energii**. Dwa tiry tego surowca starczą, by zapewnić energię elektryczną dla USA na cały rok. Jest tylko jeden problem... Złoża znajdują się na Księżycu.

ROK 2058.

Zdehumanizowany świat, gdzie **omnifony** zastąpiły więzi społeczne, **filmiki z Mega-Netu** wyparty media i kulturę, a **iwenciarze** stali się bogami informacji. **Świat**, gdzie koncerny i rządy podzieliły się władzą w hodowaniu miliardów bezrefleksyjnych konsumentów, staje **na krawędzi konfliktu**.

Norbert, iwenciarz z zasadami, wierzy, że mocna i odpowiednio podana informacja może wstrząsnąć i obudzić społeczeństwo. Tylko czy **jednostka** rzucona między stalowe walce systemów jest w stanie **przeżyć** dostatecznie długo, by coś zmienić?

fabrykaslow.com.pl

ISBN 978-83-7964-204-5



9 788379 642045

facebook.com/fabryka

Wyłączny
dystrybutor

44,90 zł*

* cena zawiera 5% VAT

patronat
medialny